INTERNET ARCHIVE
WAYBACK MACHINE
https://encyksol.pl/wiki/L00054_Edward_Postawa
Go
JAN AUG DEC
10
2020
4 captures
10 Jul 2019 - 24 Oct 2020
About this capture

L00054 Edward Postawa

```
==Relacja Edwarda Postawy==
```

Do Konfederacji Polski Niepodległej wstąpiłem w czerwcu 1980, ale kontakt z opozycją nawiązałem znacznie wcześniej. Było to w 1978, kiedy poznałem Stanisława Palczewskiego, jednego z założycieli Konfederacji w Krakowie. Kontakt z nim uzyskałem przez jego żonę, z którą pracowałem w Spółdzielni Metalowców. To od pani Palczewskiej dostałem pierwszą „bibułę", a czytanie jej w tamtych czasach było czymś bardzo nieoczdziennym. Pamiętam dobrze, że chociaż nikt nie wierzył w to co głosiła propaganda, jednak niewielu było ludzi, którzy by ujawniali się ze swoimi poglądami. Ja raczej mówiłem to co myślę i chyba właśnie dlatego zwróciłem na siebie uwagę Palczewskich.

Bibuła, którą czytywałem nie musiała mnie wcale do niczego przekonywać, wiedziałem trochę o najnowszej historii i obserwowałem to otaczające powszechne zakłamanie. Duże wrażenie zrobiły na mnie uroczystości z okazji rocznicy Odzyskania Niepodległości w 1979 zobaczyłem garstkę ludzi pod Grobem Nieznanego Żołnierza, Na miejsce dotarli jedynie ci, których wcześniej nie zwinęli, bo zatrzymywali prewencyjnie najbardziej znanych działaczy. Ale poznałem wtedy ludzi myślących tak samo jak ja. Wśród nich: Zygmunta Lenyka, Krzyska Bzdyla i Radka Hugeta.

Hasło Niepodległość brzmiało dla mnie wtedy jak bardzo śmiałe wyzwanie. Nie było to przecież czasy, w których słyszało je się codziennie. Pamiętam dobrze, że kolejne ogłaszane przeze mnie obchody w porównaniu z tymi pierwszymi wyglądały bardzo imponująco. Zaczęły się na Wawelu i były tłumy ludzi, ale to był już czas Solidarności. W tych obchodach czasem moje uczestnictwo w uroczystościach i manifestacjach było rzadsze i ograniczone raczej do statystowania. A to dlatego, że Stanisław Palczewski, doradził, a tak właściwie to nawet polecił mi, abym nie rzucał się w oczy esbecji.

Gdy moje kontakty z Stanisławem Palczewskim zacieśniły się bardziej, zlecił mi wydrukowanie ulotki. I to był właściwie mój pierwszy kamyczek wrzucony do ogródka komunistów. Jej Treść pamiętam prawie że dosłownie ; „Lwowlnć Leszka Moczulskiego – jedynego więźnia politycznego w PRL" . Musiał to być już rok 1980, raczej początek 1980. Wyglądała strasznie! Odbijana na walku, na którym naklejone były gumowe litery. Nakład pięćset egzemplarzy, format – połowa kartki A – 4. Dzisiaj mogę sobie powiedzieć, że to był mój pierwszy raz. Na następne, których było bardzo wiele, czekałem, aż do stanu wojennego, ale tego pierwszego razu nie zapomnę nigdy.

1 czerwca 1980 roku wstąpiłem do Konfederacji, byłem jednym z pierwszych, poza założycielami, którzy przystąpili do KPN jeszcze przed sierpniem. Nawet nie wiedzieliśmy wtedy, że za dwa miesiące wszystko w Polsce wybuchnie i powstanie Solidarność. W czasie tych kilkunastu miesięcy do grudnia 81, nie zaobserwowałem jakiegoś wielkiego napływu ludzi do Konfederacji. Nasze manifestacje były ostrzejsze i radykalniejsze niż te Solidarności, gromadziły wielkie tłumy, ale naprawdę aktywnie działających członków raczej nie przybywało. Ostatnio gdzieś wyczytałem, że KPN w 1981 miał liczyć 150 tysięcy ludzi!?

Ha! Ha! Gdyby nas naprawdę było tylu, poradzilibyśmy sobie z komuną już wtedy! Nie wiem, kto to policzył, lecz ja tych tysięcy wokół siebie, wówczas nie widziałem.

Gdy nastał Stan Wojenny, zamknęli wszystkich najstarszych stażem ludzi KPN-u, siedział też Palczewski. W styczniu 1982 żona Staszka zapytała mnie, czy bym czegoś nie podrukował? Zgodziłem się, a ona odparła, że przyśle do mnie jednego działacza. Tym człowiekiem był Ryszard Bocian. Po nawiązaniu kontaktu i wszelkich związanych z tym przedsięwzięciem uzgodnieniach, Rysiek przyniósł mi ramkę, udzielił instruktażu i w marcu 1982 zaczęliśmy drukować „Niepodległość". Zaczęliśmy od nakładu 500 egzemplarzy, a po jakimś doszedłem do tysiąca tysiąc. Pamiętam, że pierwszy numer był nie najlepszej jakości, lecz następny dało się już czytać. Pracowałem sam, bez pomocnika, we własnym mieszkaniu przez całe pięć lat. Później doszedłem do takiej wprawy, że w trzy godziny drukowałem obie strony całego nakładu. „Niepodległość" była pismem II Obszaru KPN i wychodziła jako miesięcznik. Po to żeby ukazywała się w miarę regularnie, musiałem na czas otrzymać gotowe matryce. Oczywiście odbywało się to wszystko w warunkach konspiracji, tzn dostarczał je Rysiek, Owszem zdarzało się, że miewałem kontakt z kimś innym, ale bardzo sporadycznie i można powiedzieć, że Ryszard był dla mnie najważniejszym łącznikiem. Przynosił matrycę, odbierał gotowe materiały, załatwiał też papier. Dzisiaj myślę, że nie działałbym tak długo, gdyby wiedziało o mnie więcej ludzi. O tych niewielu, z którymi miałem wtedy do czynienia nie mogę za dużo teraz powiedzieć, gdyż w tamtym czasie wyrobiłem w sobie nawyk nie zapamiętywania pseudonimów i imion, jeżeli mi się ktoś imieniem przedstawiał. Nawyk ten zresztą pozostał mi do dzisiaj. Od tamtego czasu w ogóle nie mam pamięci do nazwisk.

Nie wyraziłem się dosyć ściśle.. Owszem wiedziały o mnie osoby z mojego najbliższego otoczenia, tj rodzina, niektórzy dobrzy znajomi i sąsiedzi zza ogrodzenia, ale byłem pewien, że z tej strony nic mi nie grozi. W tamtych obwach chodziło mi raczej o działanie współpracowników SB. A jednak dla nich, jak się po długim czasie dowiedziałem, miejsce drukowania „Niepodległości" do końca pozostało nieznane. Zdarzało się też tak, że do domu przychodził jacyś znajomi, a ja zamknięty w pokoju odrabiałem te swoje „godziny nadliczbowe", siedziałem cicho, nie kaszlałem i czekałem aż sobie pójdą.

Później gdy miałem powielacz, Rysiek tak się „rozzuchwalił", że drukowałem już nie tylko „Niepodległość" ale na samym początku wydawanej przez prof. Kutybę „Biuletyn Solidarności Akademii Medycznej", a potem najróżniejsze pisma. Pamiętam, że nawet i „Kolejarza", a także jednorazowo gazetę zakładową z „Tepodu". Dzisiaj po wielu latach mogę powiedzieć, że Rysiek dokładał wielu starań aby mi się nie nudziło. Bo przyznam szczerze: drukowanie sprawiało mi radość! Wiedziałem, że im więcej ludzie przeczytają, tym z komuną będzie gorzej.

Miałem przez cały czas kontakty z ludźmi opozycji, ale poza małżeństwem Palczewskich i Ryśkiem, nikt z tego kręgu nie miał pojęcia o tym, że u mnie drukowane jest Nasze Pismo, ani tym bardziej o tym, że je potrafię cokolwiek wydrukować Dopiero po jakimś czasie wtajemniczyłem zarówno Zygmunta Lenyka i Radka Hugeta, którzy, wydawał jakieś studenckie pismo i pamiętałem, że spotykaliśmy się w załatwianych specjalnie na potrzeby drukowania mieszkaniach.

Oczywiście żyłem z świadomością ponoszonego ryzyka. Tak naprawdę to z wpadką liczyłem się już od wydrukowania pierwszego nakładu. Czytałem w gazetach, dowiadywałem się, chociażby i od Rysiada, o tym że znowu jakiejś grupie dali wyroki itp. Właściwie od samego początku zakładałem taką możliwość, dlatego też starałem się na co dzień nie żyć w przesadnym strachu. Przestrzegałem, a jakże, podstawowych zasad konspiracji i nie afiszowałem się tym dodatkowym zajęciem. Do tego jeszcze położenie mojego domu (ubocze, peryferia miasta) ułatwiało utrzymywanie kontaktów. Rysiek nie miał tutaj kłopotów ze zgubieniem „ogona". W końcu na takim odludziu nie trudno zorientować się, czy za tobą nie wyszą...

79 numer „Niepodległości" był bodajże ostatnim drukowanym tutaj w Pychowicach.. Rozpoczęłam nie od pierwszego, ale wszystkie powyżej dzieciątego przechodziły przez moje ręce. Te pod sam koniec, były u mnie nawet składane, bo Ryszard przygotowywał matrycę na maszynie do pisania znajdującej się na wyposażeniu drukarni. Na początku stanu wojennego, zanim opozycja podzierała się i zakrzątnęła wokół poligrafii, „Niepodległość" była chyba jedynym regularnie, wydawanym bez żadnej przerwy, pismem w Krakowie. Pamiętam dobrze, że chwile radości miałem wtedy, kiedy ktoś w zaufaniu wręczył mi gazetę przeze mnie drukowaną. To taka cholerna satysfakcja, ukrywana rzecz jasna, z dobrze wykonanej pracy. Zapewne autorzy tekstów, kolporterzy i ci, którzy rozrzucali ulotki odczuwali podobną radość, ale i ja w takiej właśnie sytuacji, też miałem osobiste poczucie należycie spełnionego obowiązku. A jeżeli chodzi o tego rodzaju zadowolenie, to jednak najbardziej cieszyłem się kiedy mnie aresztowali. Wtedy chyba wszyscy znajomi dowiedzieli się, że to właśnie ja przez te lata drukując, tyle szkód czerwonemu wyrządziłam.

Do wsypy drukarni, przyczynił się mój pies. W ten sposób, że raz jeden pogryzł kogoś na drugim końcu wsi, zostało to zgłoszone i z tego powodu w domu znalazła się milicja. Później wielokrotnie żartowałem sobie, że wcale nie zawiódł czynnik ludzki, a tylko zwierzęcy.

Kilka dni wcześniej wziąłem trochę urlopu ponieważ miałem w domu masę roboty. Drukowałem właśnie broszurę autorstwa Leszka Moczulskiego, w której tytule była „III Rzeczpospolita", jednak w całości go teraz nie przytoczyć. Nakład publikacji wynosił 1000 egzemplarzy, ale o sporej objętości, więc pokój miałem zawalony ryzami papieru. No i oczywiście siedziałem przy tym po nocach, bo chciałem się jak najszybciej wyrobić, a było gotowe dopiero dwie trzecie roboty. Byłem w domu sam i niczego się nie spodziewając otworzyłem drzwi milicjantom, którzy przyszli do mnie jako właściciela psa – sprawcy pogryzienia. Drzwi do pokoju były lekko uchylone, no i jeden z nich zainteresował się widocznym stertami papieru. Oczywiście weszli, zobaczyli i natychmiast zareagowali jak po schwytaniu bardzo groźnego przestępcy. Skuli mnie w kajdanki, przekazali wiadomość wyżej, ale tam chyba ich źle zrozumiano, bo przyjechała milicyjna ekipa dochodzeniowa przeznaczona do zabezpieczania miejsc w których popełniono morderstwo! Najbardziej szkoda mi było tego papieru. Przepadło z czterdzieści ryz, a wywożenie tego wszystkiego, łącznie ze sprzętem, zajęło im chyba resztę dnia. Z tego zatrzymania wyszły niezłe hece, bo zapisano mnie jako zatrzymanego przez milicję, a chciała mnie SB i dopiero do komendy na ulicy Zamojskiego przyjechali cywile i zabrali mnie do SB na Moglilską.

Byłem spokojny o to, że nikt nie wpadnie w żaden kocioł, gdyż Rysiek Bocian był nad morzem na wczasach i miał wracać dopiero za dwa tygodnie. Jak się okazało później, mój najbliższy sąsiad Maciek, widząc co się dzieje za płotem, pobiegł do Kurii i powiadomił o wsypie, gdyż on dobrze wiedział czym ja się zajmowałem. Kuria powiadomiła kogo trzeba i już w popołudniowych wiadomościach Radio Wolna Europa podała, że w Krakowie aresztowano Edwarda Postawę itd. Wiadomo było, że Rysiek nawet na wczasach słucha Wolnej Europy, więc napóźniej nazajutrz o tej wsypie musiał się dowiedzieć.

Przesłuchanie trwało do późnego wieczora i przyznam, że w przeciwieństwie do milicji, cywile z SB zachowywali się mniej bojowo. Nie było też jakiegoś specjalnego kuszenia, a usłyszałem tylko, że jak wszystko powiem to mniejszy wyrok dostanę. Oczywiście pytali o moje kontakty, ale sądzę, że oni wszystko wiedzieli, albo też wielu rzeczy się domyślali. Najbardziej interesowało ich, kto przywoził mi papier dostawczym samochodem „Żuk". Widocznie musieli mieć na ten temat jakieś informacje. A tak w ogóle to odniosłem wrażenie, że byli zaskoczeni tym niespodziewanym sukcesem. Inna sprawa, że to żaden ich sukces, ale po prostu zasługa mojego psa była..

Pokazywali mi moje zdjęcia z manifestacji i uroczystości, przekonałem się wtedy, że chociaż byłem dobrze przez nich obfotografowany, to właściwie niezidentyfikowany, gdyż nie wiedzieli do tego czasu kim ja jestem. Podczas wizyty u prokuratora Kowalskiego, dzisiaj to znany, podobno wzięty adwokat, powtórzyłem zeznanie w którym wyjaśniałem, że na zlecenie poznanego przeze mnie a Wawelu działacza o pseudonimie „Lech" drukowałem różne pisma przez okres odpowiadający ilości znalezionych u mnie matryc. A z prostego wyliczenia wynikała, że było to chyba około półtora roku. To spotkanie z prokuratorem okazało się w dalszym części już tylko formalnością, gdyż odmówiłem dalszych zeznań.

Po 48 godzinach na Moglilskiej, przewieziono mnie do aresztu na Montelupich, gdzie znalazłem się na „getcie". To takie trochę odzdolowane miejsce, w którym trzymali aferzystów, złodziei dzieci sztuki, nielegalnie przekraczających granicę itp. Nie było tam, całe szczęście, jakichś groźniejszych bandytów. Dopiero po zakończeniu śledztwa trafiłem do celi gdzie byli ludzie z Solidarności. Dzisiaj najbardziej z początku tej mojej odsiadki pamiętam swoje obawy, o to co ja tam będę palił. Po prostu bałem się, że pieniędzy, które miałem przy sobie nie wystarczy mi na papierosy. Okazało się, że niepotrzebnie, gdyż krakowska Kuria wpłaciła fyle pieniędzy do mojego depozytu, że powodu regulaminowego ograniczenia zakupów nawet ich wszystkich nie wykorzystałem. Jako nałogowy palacz naturalnie tylko papierosy na „wypiskę" kupowałem. Także moja rodzina otrzymywała z kolcola paczki żywnościowe.

Zanim po trzech miesiącach odbyła się rozprawa odwiedził mnie mój obrońca –mecenas Rozmarynowicz. Nigdy go wcześniej nie widziałem i przy zeznaniach spotkaniu sądziłem, że jest to ktoś podstawiony przez SB. Do tego jeszcze nie wiedziałem, że zakończyło się śledztwo i ta niezapowiedziana wizyta wydawała mi się tym bardziej podejrzaną. Oczywiście potraktowałem pana Andrzeja jako nieufnie, a przekazywane pozdrowienia od Ryśka uznałem za podstęp bezpieki. Nic mu nie powiedziałem, a później dopiero bardziej doświadczeni współwięźniowie powiedzieli mi z kim miałem do czynienia. Kolejne spotkanie z obrońcą było już takie jak należy.

Moja rozprawa odbywała się w ciasnej salce sądowej, przyszli na nią oprócz rodziny, tylko ci działacze KPN, którzy byli dobrze znani bezpiece. Byłem jednym oskarżonym z obrońcą, wspomnianym wcześniej mecenasem Andrzejem Rozmarynowiczem. Jako świadkowie występowali milicjanci i ubecy, a prokurator domagał się najwyższego wymiaru kary, czyli trzech lat zamknięcia. Nie szczędzie dostałem fylko półtora roku, i to w zawieszeniu na trzy lata. Po południu tego samego dnia, po przewiezieniu na Montelupich i po załatwieniu wszystkich formalności zostałem zwolniony. Przed bramą więzienia nie czekała delegacja Konfederacji z powitalnym transparentem. Nie czekała, bo czekać nie mogła. Był to koniec sierpnia 1985 roku. Powitalne przyjęcie w domu urządziłem sobie sam, ale już w październiku od kolegów z KPN otrzymałem możliwość złamania przepisów warunkowego zawieszenia kary. Natychmiast z niej skorzystałem, czyli powróciłem do drukowania.

Otóż okazało się, że podczas mojego pobytu w areszcie wyszedł tylko jeden numer „Niepodległości", a kolejny wczesną jesienią, drukowany jeszcze bez mojego udziału informował o opuszczeniu kryminału przez drukarza KPN-u Edwarda Postawę. Widać było, że drukujący go nie miał zbyt dużej wprawy, bo ledwo się dało pierwszą stronę odczytać, a o tym, że w miarę pracy jej nabrał, przekonywała czytelniejsza druga strona w całym nakładzie. Co ciekawe, kiedy zatrzymano mnie prewencyjnie na dołek przed 3 maja następnego 1986 roku, esbecy pokazując egzemplarz tego właśnie numeru, pochlebiali mi mówiąc, że z drukowaniem tej ostatniej strony musiałem mieć coś wspólnego, gdyż wyróżniała się dobrą jakością. Co do tamtego wydania, to akurat się mylili, ale już od października drukowałem „Niepodległość" tak samo regularnie jak przed wsypą. Z tym, że z oczywistych względów bezpieczeństwa nie robiłem tego już we własnym domu.

Ryszard zaprowadzał mnie do różnych, często zmieniających się mieszkań i lokali. Nie miałem przy tym okazji do poznania udostępniających je życzliwych ludzi, gdyż starałem się jak najszybciej skończyć w nich swoją pracę. W pamięci szczególnie utkwiło mi jedno miejsce, był to klasztor albo jakiś ośrodek Sióstr Zakonnych w przyległości ulicy Krakowskiej na Kazimierzu. Związałem się tam dzięki pani Marii Grczar, z którą współpracowałem drukując „Opinię" Krakowską. Rozkładałem tego samego dnia, po przewiezieniu na Montelupich i po załatwieniu wszystkich formalności zostałem zwolniony. Przed bramą więzienia nie czekała delegacja Konfederacji z powitalnym transparentem. Nie czekała, bo czekać nie mogła. Był to koniec sierpnia 1985 roku. Powitalne przyjęcie w domu urządziłem sobie sam, ale już w październiku od kolegów z KPN otrzymałem możliwość złamania przepisów warunkowego zawieszenia kary. Natychmiast z niej skorzystałem, czyli powróciłem do drukowania.

Otóż okazało się, że podczas mojego pobytu w areszcie wyszedł tylko jeden numer „Niepodległości", a kolejny wczesną jesienią, drukowany jeszcze bez mojego udziału informował o opuszczeniu kryminału przez drukarza KPN-u Edwarda Postawę. Widać było, że drukujący go nie miał zbyt dużej wprawy, bo ledwo się dało pierwszą stronę odczytać, a o tym, że w miarę pracy jej nabrał, przekonywała czytelniejsza druga strona w całym nakładzie. Co ciekawe, kiedy zatrzymano mnie prewencyjnie na dołek przed 3 maja następnego 1986 roku, esbecy pokazując egzemplarz tego właśnie numeru, pochlebiali mi mówiąc, że z drukowaniem tej ostatniej strony musiałem mieć coś wspólnego, gdyż wyróżniała się dobrą jakością. Co do tamtego wydania, to akurat się mylili, ale już od października drukowałem „Niepodległość" tak samo regularnie jak przed wsypą. Z tym, że z oczywistych względów bezpieczeństwa nie robiłem tego już we własnym domu.

Z esbecją nie miałem w zasadzie już więcej wiele do czynienia. No poza tym rutynowym, jak przypuszczam zatrzymaniem, przed 3 maja 1986. Było to w czasie Czernobyla i esbecy, a dobrze to pamiętam, byli o wiele lepiej od wszystkich o tej katastrofie poinformowani. Jak po mnie przyszli to mówili mi, że zwijają mnie na 48 godzin wyłącznie dla mojego dobra! Na początku nie skojarzyłem o co im chodzi, a oni chyba żartując mieli na myśli schowanie mnie w piwnicach przed tym promieniowaniem! Jednak przez te wszystkie kolejne lata nie odczuwałem z ich strony specjalnego zainteresowania. Oczywiście przestrzegałem zasad konspiracji i zanim wchodziłem do lokali zwracałem uwagę, czy któryś z nich za mną się nie wlecze. Robiłem wszystko w ten sposób, że w pobliżu takiego miejsca robiłem zakupy do domu. Kolejne nie krakowski, więc stojąc w nich zawsze miałem dosyć czasu na rozpoznanie sytuacji. To skutkowało, gdyż nigdy nie przyprowadziłem za sobą ogona. Miałem z nimi jeszcze trochę przygód, ale to tylko dlatego, że wyrywałem się na demonstracje. Im później, tym bardziej aktywnie w nich uczestniczyłem. Wcześniej musiałem bardzo uważać i na przykład jak ruszał kordon szybko zmykałem, żeby nie dać się zwinąć. Ale po 85 roku, kiedy już byłem namierzony mogłem pozwolić sobie na więcej. No zdarzyło się, że zamykał mnie jak na której rocznicę szedłem na Wawel. Potrzymali wtedy kilka godzin w komisariacie na Szerokiej i późnym wieczorem wypuszczali. Nie mnie jednego zresztą, więc tego specjalnie nie przeżywałem..

„Opinie Krakowską" drukowałem do 1990 roku, kiedy zaczęło wydawać ją na offsecie. Ale pod koniec, gdy nie było w tym żadnego ryzyka, już tak bardzo nie cieszyło.. Po „Okrągłym Stole" zaangażowałem się w kampanie wyborczą Leszka Moczulskiego. Nie drukowałem wtedy niczego na potrzeby tej kampanii, pamiętam z niej plakatowanie. Przybyło wtedy wielu młodych ludzi, którzy wyrywali się do klejenia. Ale z młodymi chodziłem też na demonstracje. Podobał mi się ich radykalizm i jako starszy od nich nie mogłem nie uczestniczyć w studenckich demonstracjach. Przyznaję, że te zadymy radowały, bo w końcu można było czerwonym dołożyć. Pamiętam dobrze nieustający wiec Ryśka Bociana na Rynku Głównym i jak mu głosu wtedy zabrakło

Z nastania Mazowieckiego na początku wszyscy się cieszyli, no bo jeszcze nie było wiadomo co to za człowiek, chociaż może i było wiadomo, ale ja nie wiedziałem! Jego rząd nazywano pierwszym nie komunistycznym, a okazało się, że to komunistyczny! Końcówkę komuny oglądałem już raczej z boku, a do polityki w Wolnej Polsce specjalnie się już nie angażowałem, a jak doszło do podziałów w KPN-ie, nie stanąłem się po żadnej stronie. Miałem poczucie satysfakcji, że swoja robotę dobrze wykonałem. Jeszcze wcześniej zostałem pięknie doceniony: Na warszawskim Zjeździe KPN-u zostałem jako jeden z dzieściu wyróżniony Odznaką KPN i można powiedzieć, że do samego końca byłem z Leszkiem Moczulskim. A po tym jak Słomka zrobił rozłam, Maria z którą pracowałem przy „Opinii" wtedy z nim działała, namawiała mnie do przyłączenia się. Ja jednak wolałem się już w coś takiego nie angażować. Oni chyba potrzebowali człowieka z tak długim stażem, lecz nie chciałem być żadnym figurantem. Po prostu nie widziałem się w takiej roli. Nigdy zresztą nie pełniłem żadnych funkcji, nie kandydowałem do żadnych stanowisk, może raz jeden Rysiek wkręcił mnie na jakieś, ale to było w stanie wojennym, kiedy zamknęli wszystkich poza Ryskiem i mną. Musiał mieć jakiegoś zastępcę, a zrobił to nawet bez mojej wiedzy. Po wielu latach KPN się rozwiązał i teraz to już tylko historia. Do dzisiaj utrzymuje kontakt tylko z Staszkiem Palczewskim, to w końcu on przyjmował mnie do KPN-u, no i z Ryśkiem Bocianem. Oczywiście nie zakuję swojego udziału, ale tak jak pewnie i wielu ludzi, mam poczucie zawodu, z tego jak potoczyły się wydarzenia przez te ostatnie dwadzieścia lat.

Ostatnio edytowano 20 sie 2013, 23:56